TOŻSAMOŚĆ · FELIETON

CITIZEN VIGILANTE, CZYLI KLASYK WYKLĘTY. CZEGO NIE WIDZĄ LEWICOWI KRYTYCY?

Paweł Porzerzyński · 15 lipca 2026

Recenzja głośnego filmu Uwe Bolla. Dlaczego lewica ma z nim aż taki problem?

Obecnie modne jest nieco infantylne hasło: „ja obejrzałem, żebyście wy tego nie musieli robić". Jeśli takie hasło usłyszę z ust lewicowo ukierunkowanego krytyka, natychmiast wiem, że za chwilę nastąpi cała seria bałamutnych argumentów, które opiszą coś niewygodnego w sposób poprawnie zmodyfikowany. Tak właśnie bywa z głośnym filmem *Citizen Vigilante*, na który chciałbym tu spojrzeć z nieco innej strony.

Zawód recenzenta kinowego, wcześniej kojarzony także z krytyką literacko-teatralną, ma obecnie swoją komercyjną specyfikę, której wymiar można podsumować prostym pytaniem: jak zachęcić potencjalnego widza do obejrzenia obrazu? Problem ten jest wbrew pozorom dość złożony, a jego rozwiązanie wymaga nie tylko wiedzy fachowej z dziedziny filmoznawstwa i marketingu, ale też wrodzonego talentu i specyficznej atrakcyjności, nie tylko skądinąd narracyjnej.

Szczególny nacisk kładziony jest na przykład na kwestię unikania „spojlerów" – zaleca się takie dobieranie opisywanych elementów fabuły, by nie doszło do zmarnowania efektu zaskoczenia. Oznacza to, że zagłębianie się w sens tekstu i kontekstu grozi „spaleniem" recenzji, która staje się czymś w rodzaju szkolnego bryku, nie tylko odbierającym przyjemność potencjalnemu widzowi, ale też „upupiającym" go podpowiedziami w rodzaju: „co autor miał na myśli".

Co ciekawe, dzisiejsi krytycy, zwłaszcza ci, których poglądy polityczne łatwo rozszyfrować, zajmują się nie tylko zachęcaniem, ale też zniechęcaniem do oglądania dzieł różnorodnych, pod rozmaitymi pretekstami. Lewicowi aktywiści prześcigają się w krytyce filmu, którym się tu zajmę, za pomocą nieraz bałamutnych argumentów, opisujących coś niewygodnego w sposób poprawnie zmodyfikowany.

Ale bywa też, że aktywista działa na rympał, jak w przypadku obecnej w wielu recenzjach tezy, jakoby główny bohater filmu *Citizen Vigilante* Uwe Bolla oraz jego motywacja zostały przedstawione w sposób skrajnie uproszczony, a sam film był wykonany bardzo słabo. Bo rzekomo brak w nim dobrego aktorstwa i klasycznych schematów narracyjnych, w rodzaju „podróży bohatera" czy bliżej nieokreślonego rytmu. Przy czym kopiowanie tej akurat argumentacji jest całkiem sprytnym zabiegiem erystycznym. Skoro bowiem zgadzamy się z aktywistą w jakiejś mniej istotnej sprawie, tym bardziej wychodzimy na szczerych i wiarygodnych, gdy się z nim nie zgadzamy w sprawie najważniejszej.

Problem polega na tym, że inkryminowany film jest niekoniecznie słabo zrobiony, a raczej może jest zro-

biony po prostu inaczej. Co prawda osoba jego reżysera skłaniać może do różnych wniosków, ale – ponieważ trochę tę tematykę studiowałem, pisząc i broniąc tzw. magisterkę na ten temat – pokuszę się o stwierdzenie, że jest to wcale nieźle nakręcony film celowo naśladujący kino klasy B, sprytnie przy tym sugerując pochodzenie „indie label", czyli z wytwórni niezależnej. Co oznacza, że powinien on co najmniej widowiskowo „olewać" sztywne ramy klasycznych schematów narracyjnych, co akurat nie zawsze robi, dyskretnie puszczając oko do tych „co się znają". A to generuje niezrozumienie, ponieważ epigoni filmowego aktywizmu przyzwyczaili już widza do alarmistycznego walenia w bębny i dziarskiego wymachiwania sztandarami.

Citizen Vigilante i *Pokot*, czyli o samosądzie

Zwolennicy klasycznej edukacji estetycznej wskazują na dwoisty charakter procesów wychowania odbiorcy dzieł artystycznych. Po pierwsze, odbiorca taki chcąc nie chcąc podlega kształtowaniu przez sztukę, po drugie zaś można, a nawet należy przygotować go do świadomego odbioru, a więc coraz lepszego rozumienia sztuki, w tym także jej aspektów technicznych. Przy okazji zauważyć on musi, że kultura ludzka nie rozpoczęła się z chwilą nakręcenia pierwszego filmu przez Quentina Tarantino, a sztucznie pompowana moda na kryminał ideologicznie zaangażowany stanowi gdzieniegdzie coś w rodzaju protezy kompensującej różne niedostatki. Koronnym tego dowodem są filmy Agnieszki Holland takie jak *Pokot* i *Zielona Granica*, którym podobno warsztatowo niczego nie można zarzucić.

Oba te filmy można zestawić z *Citizen Vigilante*, ponieważ pierwszy wprowadza wątek samosądu, a drugi podnosi kwestię imigrancką, I znowu problem polega na tym, że w *Citizen Vigilante* kwestia ta stanowi wprowadzenie do najbardziej rozbudowanej pointy, podczas gdy inne patologie zostały ledwie zasygnalizowane. Ojcowskie kazanie o pasażerach na gapę, przez których rosną ceny biletów lewicowym aktywistom może się wydawać dziwacznym libertarianizmem, ale to jest autentyczny problem aglomeracji wielkomiejskich, uwzględniony na przykład w nowojorskim programie „Zero tolerancji", wprowadzonym przez w Polsce często podziwianego, a przez amerykańską lewicę znienawidzonego burmistrza Rudolfa Giulianiego (po całej serii polowań na gapowiczów w nowojorskim metrze radykalnie spadła ilość dokonywanych rozbojów, co reżyser w swoim filmie jedynie zdyskontował). Główny bohater *Citizen Vigilante* zaczyna jednak od nieudanej próby zjednania sympatii chuliganów kupionymi biletami. Nie jest przecież tępym przemocowcem, ale chłodno kalkulującym strategiem, zmuszonym do stosowania przemocy traktowanej zadaniowo. W psychologii społecznej nazywa się to agresja instrumentalna.

Kiedy Leszek Miler zwrócił się do Zbigniewa Ziobro per „panie Zero", niekoniecznie chciał go jedynie „po knajacku" znieważyć. Słowo zero było bowiem złośliwą aluzją do postawy „szeryfa", z jaką obnosił się Ziobro. A w zasadzie z jaką obaj się obnosili – jak wiadomo, w jednym mieście jest za ciasno dla dwóch szeryfów. I w taki sposób należałoby rozumieć rywalizację filmowego mściciela z przedstawicielem szefostwa Policji, którego motywacji też możemy się jedynie domyślać.

Stwierdzenie, że filmowym policjantem kieruje jakaś szlachetna w sumie akceptacja zasad narzuconych przez system ma charakter spekulatywny i przy okazji afirmujący wadliwy porządek. Motywację policjanta poznajemy w dwóch scenach. W pierwszej kręci on głową i ironicznie się uśmiecha, słuchając medialnych wypowiedzi wychwalających osobę anonimowego mściciela. W drugiej zaś tłumaczy rozmówczyni, czemu będąc celebrytą ukrywa swoją tożsamość przed innymi gośćmi w nocnym klubie. Sceny te wska-

zują, że mamy do czynienia z klasycznym starciem miernoty z geniuszem. W klubie tym policjant kradnie kieliszek z DNA podejrzanego, co zostaje zapowiedziane kilka scen wcześniej w formie prawnego zastrzeżenia. To kolejny moment, z którego wynika, że uwikłany w kunktatorskie procedury policjant jest bladym alter ego legendarnego mściciela.

To jest jeszcze jeden element epatującego krwią moralitetu – bardzo komiksowy, ale też zupełnie nie nowatorski. Wystarczy przypomnieć powieść *Zły* Leopolda Tyrmanda, by zauważyć, że schematy narracyjne *Citizen Vigilante* nie wzięły się sufitu. Nawet jeśli więc w filmie masowo giną policjanci, to nasza wrażliwość – ukształtowana przez różne dzieła kultury (i popkultury) – pozwala bez zbędnego sentymentu patrzeć na takie sceny. Tym bardziej, że odrealniona, w sumie oniryczna scena strzelania do ściany jest czystą wizualną metaforą, która nie ma nic wspólnego z czarną taktyką oddziałów kontr-terrorystycznych. Niczym w sennej malignie widzimy pluton egzekucyjny, który koniec końców sam zostaje rozstrzelany. Koszmarne widoki rodem z obrazów Goi, mogą być może w widzu wywołać efekt katharsis, ale bardziej nimi ma zostać wstrząśnięty dowodzący operacją policjant. I zostaje, choć najpierw widzimy do bólu przewidywalną scenę wybuchu bomby pułapki zamontowanej w tunelu pod bunkrem. No cóż. Jako rzecze Zaratustra, wdzieranie się do cudzego wnętrza i eksplorowanie mrocznych zakamarków jest zajęciem narażającym na zranienie.

Citizen Vigilante i społeczne lęki

Wracając do teorii wychowania estetycznego, tego rodzaju filmy mają na celu „upuszczenie złej krwi", czyli emocjonalnego odreagowania i przewentylowania nagromadzonych frustracji.

> Niech pierwszy więc rzuci kamieniem ten, który na przykład nigdy nie poczuł złości do jakiegoś policjanta. A tak ogólniej, to w każdym z nas tkwi jakaś niezgoda, jakaś agresja. Dlatego tak wiele jest filmów hultajskich, których bohaterowie łamią prawo, a nawet krzywdzą innych. Oglądanie takich filmów dostarcza widzowi zakazanych emocji. Takich, na które nigdy nie zdobyłby się w realnym życiu. Przynajmniej taka jest nadzieja.

Mechanizm ten rodzi jednak pewne wątpliwości. Co bowiem się stanie, jeśli odbiorcy nie wystarczy bierne oglądanie kryminalnych zdarzeń? Szczególne obawy budzi gatunek heist movie, w pewnym sensie instruktażowy, bowiem pokazujący krok po kroku przygotowania do jakiegoś skoku na bank czy wyrafinowanego oszustwa. Mówi się także o efekcie Młodego Wertera, w ramach którego przez naśladownictwo epidemicznie namnażają się działania o charakterze nie tylko suicydalnym i autoagresywnym, ale też agresywnym.

Lista odreagowanych w *Citizen Vigilante* patologii siłą rzeczy nie jest długa, za to znajduje oparcie w szeregu badań naukowych, nie tylko zresztą archiwalnych, tj. z epoki nowojorskich epickich porządków. Film niewątpliwie uderza w społeczne lęki, które są bardzo aktualne, choć niekiedy banalne, a nawet strywializowane.

Szczególnie enigmatycznie prezentuje się scena jechania „na czołowe" z żółtym samochodem, postrzegana w publikowanych dotychczas recenzjach wyłącznie jako przykład niespójności przekazu w filmie Bolla.

Komentarz mściciela odnosi się w niej do kurczowego przestrzegania reguł tam, gdzie trzeba reagować kreatywnie i elastycznie. To ma być lekcja dla sędziego, który nie umie ferować sprawiedliwych wyroków, zapewne dlatego, że opinie biegłych psychologów mu w tym przeszkadzają. Takie wprowadzenie do sceny rodzinnej egzekucji, w której młodociany gwałciciel powołuje się na swoją traumatyczną migrację.

Ale sama sytuacja widowiskowego spuszczenia innego kierowcy do rowu – zapewne – odnosi się do lęku, jaki w nas wzbudzają drogowi wariaci. Żółty kolor i ogólnie sportowy wygląd rozbitego pojazdu siłą rzeczy przywodzi na myśl całą serię polskich tragedii, których sprawcy są tzw. porządnymi, a przede wszystkim bardzo zamożnymi ludźmi, wobec czego ich sprawiedliwe ukaranie będzie niemożliwe. Niestety w realu to oni są szeryfami blokującymi drogę pojazdom zbyt wolno poruszającym się po lewym pasie autostrady. A jeśli trafiają do rowu, to po uderzeniu w jakiegoś Bogu ducha winnego nieszczęśnika. Zaproszenie do wyławiania z fabuły tego typu aluzji to bardzo swoista gra, jaką wydaje się toczyć reżyser ze skonfundowanym widzem.

Pewnego rodzaju żenujący komizm pojawia się w scenach burdelowych, dzięki którym zaczynamy poznawać naszego do tej pory hermetycznie szczelnego bohatera. Wcześniej dowiadujemy się, że potrafi być po ojcowsku zrzędliwy, ale to żadne wyjaśnienie jego poczynań. Przerwanie kopulacji z powodu pleśni na ścianie może się wydawać totalną niedorzecznością, ale mechanizm ten jest stricte psychologiczny. Człowiek się zdekoncentrował, ponieważ marniejąca ściana jest jego własnością. Jego a nie sutenerów. I chyba raczej niechcianą własnością, ale jednak. Sypiące się cegły i pleśniejące tynki to nie jest jego bogactwo, ale dziedzictwo. Nie reaguje jednak gniewem, ale życzliwym, a przy okazji nudnawym instruktażem o wietrzeniu pomieszczeń. Kolejny temat ze stron internetowych.

Sceny burdelowe w filmie symulują niezależny charakter produkcji i jej zainspirowanie podobnymi, których w historii kinematografii bynajmniej nie brakuje. Red Butler w *Przeminęło z wiatrem* też przyciągał łzawe spojrzenia spragnionych prawdziwej miłości prostytutek. W naszym przypadku jednak nie wchodzą w grę ani źle ulokowane uczucia, ani niedopuszczalność mezaliansu. Nasz bohater jest człowiekiem zapracowanym. Ma 3100 nieruchomości do upilnowania na głowie.

Kiedy wątek burdelowy zamienia się w nieruchomościowy, zaczynamy poznawać bohatera. W niełatwej zapewne dla niego chwili bohater własnym głosem informuje o tym, że miał bardzo słabe relacje z ojcem, który po przedwczesnej śmierci matki oddał go do szkoły z internatem. Po czym testamentem powołał go do kontynuacji rodzinnego interesu. Relacje ojcowsko-synowskie to klasyczny motyw literatury amerykańskiej, nie mniej istotny od przestępczości i przemocy. A może nawet istotniejszy, sądząc choćby po metaforze Ojców Narodu.

I wtedy zaczynamy rozumieć, a przynajmniej powinniśmy rozumieć, że konstrukcja psychiczna człowieka jest wynikiem braku miłości i szacunku, których nie kupi się w burdelu i autobusie. Pierwsza propozycja tytułu brzmiała *Mroczny Rycerz*, ale na takie podczepienie się pod Batmana nikt nie wydałby zgody. Wychodzi więc na to, że byłby to w zasadzie ckliwy samograj o dziecku, którego wyjątkową być może nawet wrażliwość brutalnie postrzępiło doświadczenie utraty matki i mimowolnego odrzucenia przez zapracowanego ojca.

Dziecku, które dorastając samo pragnie stać się ojcem. Surowym, ale sprawiedliwym. Więc trochę jakby z nadania bożego. Takie powołanie. Protestanckie rzecz jasna, skoro mściciel konsekwentnie podkreśla swoją amerykańskość. Co przy okazji jak ulał pasuje do naszego porzekadła, głoszącego, że nikt nie jest

prorokiem w swoim kraju. Prawdę o podupadającej Europie zapewne lepiej widać z amerykańskiego dystansu. A to, że konotacje religijne nie są ani werbalizowane, ani wizualizowane, filmowi jedynie służy. Chrześcijańska cnota męstwa sama w sobie budzi paniczną niechęć środowisk uważających się za postępowe, zaś mściciel i dewot jednocześnie byłby postacią kuriozalną dla obu stron ideologicznego sporu.

> Bohater filmu zachowuje się jednak – i wygląda – jak pastor z dzikiego zachodu, który bierze grzech na sumienie, żeby nauczyć innych. Jest w tym ogromnie nietzscheański, patrząc w ciemność, która patrzy w niego, walczy z potworami i samemu przypomina potwora. Jest psem, który przegania wilki, budząc trwogę owiec. Punkt po punkcie są to ograne klisze, tyle tylko, że zamilczane przez mainstreamową bańkę informacyjną.

Film inspirowany faktami może się dziać wszędzie, czyli nigdzie, a zaangażowany kryminał kina eksploatacji może być westernem zamaskowanym kosmicznym sztafażem.

Film opowiada nie tylko o imigracji – jest też radykalnie antyfeministyczny, co mogłoby zostać wręcz nazwane mizoginią. Dlatego reżyser koncentruje się na niewinnych ofiarach przemocy, przy czym za niewinnością zgwałconej dziewczyny przemawia jedynie jej nastoletni wiek, sytuujący ją na pozycji dziecka. Poza obszarem koncentracji i komfortu jednocześnie pozostawiając np. dwie dziewczyny w klubie, które bohater ratuje przed przyjęciem pigułki gwałtu, a potem obcesowo z tego klubu przegania.

To nie jest tak, że bohater bezkrytycznie afirmuje nowoczesną kobiecość, która podobnież tak „uciekła do przodu" mężczyznom, że mówić możemy już nie tylko o kryzysie ojcostwa, ale całej męskości. Wręcz odwrotnie. Nowoczesna kobiecość jest w filmie przedstawiana jako podłoże opresji ze strony niemęskich mężczyzn. Nie jest to przy tym paradoks, że twarda „toksyczna męskość" mściciela przeciwstawiana jest miękkiej niemęskości agresorów.

> Niestety w dzisiejszym mainstreamie jest tak, że najmarniejszy obraz wymierzony w rasizm czy mizoginię okaże się dobry i ważny, a co najmniej potrzebny. Z całym dobrodziejstwem inwentarza. Epatowanie przemocą i golizną jest wtedy awangardowe. Samo już zerwanie z antyrasistowską i feministyczną sztampą, czyli po prostu obiektywizacja spojrzenia, stanowi dziś – z mainstreamowego punktu widzenia – zbrodnię. Dlatego *Citizen Vigilante* bezkompromisowo przesuwa okno Overtona w prawo, tworząc wrażenie ambiwalentnego i odhumanizowanego. W to samo prawo, które jakieś trzy dekady temu było po prostu centrum.

Citizen Vigilante jako komiks

Citizen Vigilante to jest typowy moralitet wzorowany na filmie zemsty, a więc gatunku, którego gwiazdy ze spaghetti-westernów trafiały do choćby wojennych blockbusterów. Są to aktorzy dziś zapewne kontrowersyjni, ponieważ łatwo ich oskarżyć o promowanie owej „toksycznej męskości". Choć nie tylko taki

na przykład Clint Eastwood bezproblemowo realizował swoje patriarchalne amploi.

Sceny likwidacji rodziny imigranckiej nie da się przyjąć wprost, ponieważ – podobnie jak ta z masakrą policjantów – ma ona charakter oniryczny, na co wskazują choćby rozmyte przejścia między wizytami kolejnych współsprawców zgwałcenia czternastolatki, będące jednocześnie wzrokowym ekwiwalentem subiektywnego odbioru czasu w stanie szoku traumatycznego. Dla odbiorcy niewtajemniczonego – to po prostu skrót narracyjny naruszający zasadę jedności czasu, miejsca i akcji, dodajmy, że po raz kolejny niezbornej, a wręcz nierealnej.

Mimo założonego na pistolet tłumika taka egzekucja musiałaby wzbudzić zainteresowanie sąsiadów, także z powodu innych hałasów, od zbiorowego krzyku po łomot upadających ciał. Warto też zauważyć, że mściciel nie zastosował żadnych środków bezpieczeństwa, w tym nawet rękawiczek, co budzi szczególne zdziwienie, gdy gołą dłonią chwyta lakierowane oparcie krzesła, zostawiając kompletny, pięciopalczasty ślad linii papilarnych. Gdyby film aspirował do klasycznej konwencji poważnego kryminału, kadry te byłyby kardynalną wpadką.

> Ponieważ jednak *Citizen Vigilante* jest ekwiwalentem komiksu, tak samo jak w przypadku wspomnianej powieści Tyrmanda, ale także gry komputerowej, zaistniałe niedociągnięcia i nierealności nie mają znaczenia. No chyba, że stając się kolejnym źródłem dysonansu nie tylko emocjonalnego, ale też poznawczego. Jeśli chcemy przebywać w strefie dyskomfortu, to go otrzymujemy.

Pozostaje więc wyłącznie kwestią podwójnych standardów traktowanie rzeczonego filmu znacznie gorzej niż nader wielu podobnych, w których jednak sprawiedliwość działa według politycznie usankcjonowanych standardów.

Jeśli chodzi o poziom lewicowej krytyki filmowej to mnie osobiście najbardziej zadziwia fakt, że faceci miażdżący *Citizen Vigilante* często nawet nie wiedzą, że istnieją dwa rodzaje filmów – filmy akcji i filmy nastroju. *Citizen Vigilante* to film nastroju, co nie oznacza filmu nastrojowego, w rozumieniu pogodnie romantycznych czy melancholijnych sentymentów. Ten film nawiązuje do romantyzmu i melancholii w takim rozumieniu, jakie mu nadawali twórcy tych pojęć.

W jednej z youtubowych recenzji facet w czapeczce z daszkiem do tyłu, szczerząc kły i machając rękami, stwierdza, że film nie był absurdalnie śmieszny, „tak jak takie filmy być powinny". Pocieszające jest to, że na samym końcu wspomina o eksploatowanych w filmie prawdziwych problemach i potrzebie ich rozwiązywania. Może więc wyśmiewany szeroko film jednak daje do myślenia? Bo czy jakikolwiek uznany szeroko w mainstreamie reżyser zajmie się opisywaną tu tematyką? Przecież znamy odpowiedź na to pytanie.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=FoWm4Avh9aY

Oryginał:
https://nlad-kopia1113.instawp.site/citizen-vigilante-czyli-klasyk-wyklety-czego-nie-widza-lewicowi-krytycy-recenzja/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć